Wincenty Burek

Waluś

Ino szumi, tak się uwijają. Krzątanina w oborze, żwawa robota w chałupie. Jednym tchem, dowyrypu. Żeby juścić zdążyć do pierwszej gwiazdy i na porę wszystko naładować. A tyle tego wszystkiego! Placki z prymnej sodomirki być muszą. Bez kiszek teżby się nie obyło. A co mówi postnik? Postnik trza prychcić ano jak zazwyczaj: godzinami, we wszystkich fajerach, w przerozmaitych garczkach, patelniach, rondelkach coporęczniejszych. Ze wszystkich kominów wali dym pod mgławe niebo, w każdej tutaj chałupie rozbiegli się ludziska przy wilijnej robocie. Gęby się im porozjaśniały do tych świąt co idą, a w każdym ruchu, stąpnięciu wybija się uciecha. Że to się doczekało w zdrowiu i sile tej wilji kochanej.

Uciecha uciechą, pełno tej uciechy na wsi o tym czasie, ale gdybyś wziął i złożył na razem wszyściuteńkie ocińskie uciechy, toby jeszcze chyba nie wydoliły społem na tę jedną. Na tę uciechę, co się rozgościła od wczorajszego listu w chałupie Kozła bez ręki i dzisiaj jarzy się tylim blaskiem w jego oczach, w bruzdach na gębie, w każdem słowie ciskanem do baby. Nawet ta jedna ręka - sierota, a i to nie dynda markotnie, ino się rozmachała w gorączce i majta się nikiej w kołowrotku. Uciecha, uciecha! Ani w niej usiedzieć w chałupie, ani co robić, ani gdzie się podziać. Jakże tu usiedzieć, kiedy coś porywa i pcha oczy ku oknu. I za próg ten niespokój różowitny wygania, żeby popatrzeć na drogę, czy aby... Czy aby go nie widać, czy nie śpieszy z dalekiej drogi ten syn ukochany, ten drogi, serdeczny Waluś. Tyle lat się splezło, a jego nie było. A dzisiaj będzie. Przyjedzie do ojca. Na samą wilję nadąży.

— Waluś! Najlepsze dziecko. Pociecha moja na tem świecie — wykrzykuje do baby, krzątającej się chybko wedle wilijnych frykasów. Wziął se ją za żonę już po wyjeździe Walka zagranicę, to dzisiaj chciałby się mu tą macochą przekazać, że zuch i zdatna w robocie. I że potrafi zadbać o starego, o kalekę, bidaka i wyrobnika, co ze stróży nocnej na tym Ocinku żyje. No juści. Trza chłopaka przyjąć jak się patrzy, uczęstować z podróży, przytulić jaknajmilej. To się samo rozumie.

— Boc na dzizke! Zeby sie ciasto nie zakwasiło — martwi się spod okna, gdzie się usadowił od rana i coraz popatruje na drogę poprzez szparkę wychuchaną w omroziałej szybie. — I o frochtach nie zaboc!

— Nie bój się, Jantoni, kazbym jo tyz... —surda się Kozłowa, sama mocno przejęta tym gościem zdaleka i przyjęciem co się tu dla niego szykuje. Niespokoi ją też nieznany pasierb, trochę się go nawet i stracha, że może będzie na nią krzywo patrzał, może mu się coś w macosze nie spodobać. Jakto młody, a do tego światowiec i znający się na inszem życiu, aniżeli takie oto tutaj. To trza się dla niego wysilić na najlepsze, najskuteczniejsze w smaku.

— Słysys, stary? Leć do Płazy po wiązecke siana — dogania chłopa od samego rana. — Jo tu owedze kiełbasy na jutro, zacem się postny borzc wstawi na cygon.

— Obierz bedki, bo jo miese dzizke!

— Oberwij korzonki u susonych śliwek! Trza my w piecu polić.

— Stanij se przy ogniu, a jo polece po patelnie do placków.

Rób to. Styrknij tamto. Poskuć jeszcze w tem i owem. Inszym razem ofuknąłby Kozieł Bezręki tę swoją kusiajdę, ale teraz? Odklejał się od swojej warty przy oknie i niechętnie bo niechętnie łapał się mańkutem za wyznaczoną pomoc dla baby. W młodych latach urwała mu maszyna prawą rękę, to miał czas popóźniej wyćwiczyć tego mańkuta tak zmyślnie, że w niejednej robocie leniej se poradzał jedną ręką, niż niejeden dwiema. Więc teraz uwijał się z robotą woczymieniu, żeby ino móc wyglądać przez okno lub się posiańdać na ośnieżoną drogę. Żeby wypatrzeć jeszcze lepiej czy Waluś nie zdąża. I żeby złapać na drodze kogoś piśmiennego, ktoby mu wyczytał z wczorajszego listu te ucieszne słowa, że gość najdroższy zawita do jego obrębów. Z dziesięć razy mu ten list czytali, umie już na pamięć to pisanie, ale wciąż mu go za mało. Chciałby się nacieszyć temi słowami, utwierdzić ich prawdę przez cudze usta, pochwalić się przed ludźmi swojem weselem. Jakże? Wszyscy się cieszą dzieckami, familją, a on ma być najgorszy? Tyle razy przepędzał święta w pojeden czy potem we dwoje, i zawsze bez widoku ukochanego dziecka, co musiało iść w świat za chlebem. Aż się i odmienił smutny los, aż i nadejdzie w czas świętej wilji tamten śmiech w chałupie i radość, jak kiedy tutaj chował się Waluś na pociechę ojcom.

To dla niego tak pachnie dzisiaj izba. Dla niego śmieją się ściany białością, obrazy mienią się czyściutko i jakby się nikiej poożywiały na tę wiadomość, że stanie dzisiaj przed niemi ten, to się wkiedyś małym chłopaczkiem modlił do nich w nieskładnym pacierzu. Łóżka pozaścielane szykownie wspinają się pod powałę grubizną poduszek i obiecują dosyt wytchnienia dla podróżnego. Na półkach szafy unosi się smak od zwojów kiełbas, boczku i inszej gawędziny na użytek jutra i pojutra. W kątku zielenieje pochętnie tęga flacha okowity, żeby ano ochotniej przygryzało się jadło w ostrości napitku. Na ziemi wedle pieca siedzi już niezgorsze pieczywko placków i paruje pulchnym zapachem. Ot, i jeszcze te nieculki wydziannych kiszek wsadzić do pieca, i za gotowanie się brać co tam we zwyczaju. Stoją napogotowiu garczki, patelnie i olej do racuchów, rozpala się ogień pod blachą, na dworze robi się szarawo, wnet nadejdzie zmierzch, zaraz zabłyszczą świeczki, wkrótce zamruga nad Orłową Górą pierwsza migotka na wysoczyźnie, żeby za stół zasiadać, do postnika się brać.

A Walusia jak niema jeszcze, tak niema.

— Wis co, Jantek, a moze un dzisioj nie zdązy — powątpiewa Jantoniowa. — Moze nadjedzie jutro, abo jaz po świetach.

— Ajno, oplata świata! Napisoł, ze na wilijo, to na wilijo. Ino go tu patrzyć.

— To cegóz go nima do ty pory?

— Cegóz? Głupioś i tyle. Kolij sie spóźniła, abo juz jest gdzie na wsi. Ludzie go strzymali woli godki. Zrozumiałaś?

— Zrozumić zrozumiałam, ino ze...

— Ze co? — wrzasnął, bo już ciężko strzymać tego niespokoju, któren gada oto słowami kobity. W nim się to samo kotwasi, myśli chodzą po głowie jak skołowaciałe, no bo juścić i wieczór wgramolił się do izby, a o Walusiu ani słychtu. Może się opóźni, może aż hola w wieczór się pojawi, ale żeby zwiódł ojca i nie przyjechał... nie, wszystko, ino nie to. Nie bywało, zeby wkiej wiary w czem nie dochował. I dziś dochowa. Kozieł Bezręki głowęby założył, że tak będzie.

Już ino postnik galanto się przyładził. Na blasze stoją rzędem wystawione garnuszki z różną warzą. Ostatni racuch schodzi z patelni w rozprysku oleju. Kozłowa odgarnia kapki potu z frasobliwej gęby i wodzi oczami po tylim swoim plonie dzisiejszego dnia. Jest rada z roboty, że udatna. Ino, żeby ten Waluś...

I noc się rozczapierza nad światem niewiodku wkiej. Pozaokniu jakby płachtę kto rozwiesił, nie widać nic, drogi nie widać przez obchuchaną szybę. Tylko światła migocą w ludzkich chałupach, znak, że wilja zacznie się wnet odprawiać. Już się odprawia, bo ani się czyj krok rozlegnie po grudzie drogi, ani pies nie zaskowyczy śród tego spokoju w zapłociach. Nad Górą Orłową trzepie się w blasku gwiazda najpierwsza.

U Kozłów cicho. Jak tam za oknem, na całej wsi, naokoło. Nie gada się nic, ani półsłowem. Ino się czeka na chybkie kroki, ino się dech strzymuje na to przyjście. Ława wpodle stołu, siedzą oboje na tej ławie, spojrzenia lecą ponad sianem, na którem opłatki. Ku oknu lecą, ku drodze.

— Nie! Nie strzymom — zerwała się cisza od słów Kozła bez ręki. — Polece...

— Kaj polecis? — dziwi się Kozłowa.

— Na dwór. Na droge pu mostowi.

— No to idź! Jo zackom.

Wdział bondę, czapę wepchał na uszy i wypadł z ciepłości izby na ziąb. Zaskrzypiał śnieg pod butami, mróz zaczął gryźć rozgrzane policzki, ale Kozieł Bezręki tego nie czuł.

Widziało mu się, że oto idzie na spotkanie syna, że ino ten zakręt, już-już, a zejdą się oba i rzucą się na siebie z całowaniem. To go popycha i gna pod górkę i dalej na koniec wsi, ku gościńcowi, którędy Waluś będzie musiał iść od kolei. O, i rzeka. Rzeka szkli się lodem, most sadzi skokiem ponad nią. Tu będzie czekał.

Po rozdolinie lata wiater, wszędzie spokój w mgławem okolu. Zza kicharskiej góry wytacza się miesiąc i zapala iskry na śniegach. Nieżywe światło budzi cień na moście. Cień przylgnął do barjery, leży cierpliwie, czasem się poruszy. To Kozieł Bezręki zatupie nogami dla rozgrzewki, zabije ręce i znowu martwieje w niemocie. Wpatrzył się w Laskowiec, gdzie jest ta najpierwsza droga stamtąd zdala. Drgnął, kiedy pies zadziamał koło chałupy tam pod Laskowcem. Minuty przedłużają się w wieczność. Nie, ani żywego ducha. Znowu czekanie.

Czas schodzi, miesiąc się coraz wspina, budzi się wieś po postniku. Ode wsi lecą pokrzyki, hałasy. Rozradowane głosy dziecek wywrzaskują z sadów przy wiązaniu drzewiny. Gwar. „Bedzie rodziła! Nie bedzie rodziła, ścinać ją! U nos bedą śliwecki, grusecki, a u Macieja same ogryzecki!!...“ Zgóry gapi się na toto miesiąc i nikiej się uśmiecha pyzato.

Dawno już przegnał wiatr ostatnie echa wsioskiego wilijnego gwaru, kiedy cień na moście odsunął się od barjery i począł się wlec ku wsi. Cień nikły, skulony, przełamany. Pomalušku się ciągnął, jakby nie o swojej sile. Przystawał po drodze, odpoczywał, sztachet się wieszał dla podpory. Ostatkiem sił dobrnął do drzwi.

— Nima Walusia — jęknęło mu się samo od progu.

W milczeniu siadły starowiny do postnika. Z żalem wielkim i w smutku. I jeszcze z małą nadzieją, że chłopak nadejdzie. Na Walusia czeka przecie opłatek i te miseczki z warzą. Jedzą oboje, ale jadło jakoś im nie smakuje i w gardle więźnie. A myśli obojga wciąż się oplatają wokół nadziei, co zwiodła tak przykro. Ano, cóż poradzić na takie przeciwieństwa. Trza se i to przyjąć, skoro się los obszedł tak niełaskawie. Trza, to trza!

— Ha, widać ześmy se nie zasłużyli na to sceście, co się obiecywało — próbuje Kozieł jakoś rozruszyć smutne myśli. Niebardzo mu się to udaje, więc zwiesił głowę i gmera frasobliwie w różnych domysłach i przypuszczeniach. Co się też mogło przydarzyć, że taki zawód oto?...

Późno, chyba o północku zebrali się do spania. Lampkę ostawili w oknie niezgaszoną. Na wszelki wypadek.

Sen długo nie nadchodził. Kozieł Bezręki obracał się na wszystkie boki i na nic, Waluś stoi w myślach, Waluś, czekany gość. Nikiej na czystej jawie widzą go oczy, jak tu jest i żyje wespół z ojcami. Ale to było wkiejś, dawnemi czasy, bo teraz... teraz go nigdzie tutaj nie uświadczysz.

— Waluś!... — szepcze i z tym szeptem hola w nocy zasypia.

Raptem zrywa się na łóżku. Oczy przytomnieją, uszy całe w czujnem słuchaniu. Ktoś stuka we drzwi ode dworu. O, słychać wyraźnie jak ręka maca za klamką, potrząsa drzwiami.

W mrugnięciu oka wyskoczył spod pierzyny i jak stał, poskoczył do sieni. W dygotce radości odsunął zasuwkę. Rozwarł drzwi szarpnięciem.

Na progu stoi ciemna postać chłopa.

— O mój to syn kochany!...—I z temi słowami rzuca się mu na szyję.

A tamten ani drgnie. Stoi wyprostowany i rękami odpycha białe widmo. I coś bełkoce. Kozieł Bezręki tego nie słyszy, ino się coraz wtula w przybysza i całuje po zimnych buziakach. Aż wraca opamiętanie i myśl, że trza do izby.

— A chodźze, tyleśmy się nacekali...

Laboga, co to znaczy? Gość coś mamroce, nie rusza się z sieni i naraz dzikim głosem wyjąkuje:

— Któ... która godzina?...

Marjo święta! To nie Walusia głos. Kto to jest? Kozieł Bezręki szarpie przychodnia za rękaw i wleczy za sobą do izby. Słabe światełko rozjaśnia spod okna ciemności.

Jeden błysk oka i już widno w głowie. Nie Waluś to, nie Waluś. W progach izby wykrzywia się głupi Józek zza Ożarowa. Znają go tu na Ocinku wszyscy, bo przylatuje czasami do ciotki Kodrotki, co siedzi posąsiedzku. I dziś go przygnało, a że u ciotki nie chcieli mu widać otworzyć, to zalazł od sąsiada.

Kozłem zatrzęsła złość. W furji poskoczył do głuptasa, chwycił go knykciami lewaka za bary i wrzasnął ile mocy:

— Poszoł won ode mnie!...

I kolanem pchnął przywłokę do sieni, ino drzwi jęknęły na zawiasach.

Niełopic wsparł głowę o futrynę i tak zastygł na długą chwilę. Tamten w sieni stał se w kątku jak trusia i nie wychodził. Cisza się przetaczała w zamarciu tych trojga.

Bezręki Kozieł przecknął się zniebaczku i powiódł oczami po chałupie. Zajrzał do sieni, zapatrzył się tam i po chwili:

— Chodź, Józef, do izby! To nic, to nic...

Przynaglił kobitę, żeby coduchu przyładowała dla chłopaka jakiego jadła. Poczęstował go kieliszkiem wódki woli rozgrzewki. A popóźniej wsunął się chyłczkiem pod pierzynkę i poglądał se na chłopaka jak zawijał posiłek w uciesze i ze smakiem.

Czuł wtedy Kozieł Bezręki, że od samego serca rozchodzi się po nim radosne ciepło i takie szczęście, jakie wkiejś tutaj przebywało. Dawniej, o tym czasie, kiedy tu był Waluś.

Stanisław Cywiński

Barok w Polsce

Słusznie Juljusz Kłos w swym przewodniku po Wilnie, podkreśla w baroku „temperament szczerości“, który pobudzał „dowypowiedzenia się bez zastrzeżeń wszystkie odrębności usposobienia narodów. Styl ten mieni się w interpretacji każdego narodu innemi barwami i światłami“. Toteż on szczególnie „Polsce trafił do serca“; w żadnym stylu „temperament polski nie wypowiedział się tak wyczerpująco i różnorodnie, jak w baroku“.

Przynieśli go do Polski Włosi i od schyłku 16go wieku wznoszą oni u nas całe mnóstwo kościołów i innych budowli barokowych. Więc naprzód Jan Marja Bernardone buduje i planuje jezuickie kolegja i świątynie w Nieświeżu, Kaliszu, Poznaniu, klasztor p. p. Brygidek w Gdańsku, kościół św. Piotra i Pawła w Krakowie. Niebawem powstają klasztory i kościoły Bernardynów w Kalwarji Zebrzydowskiej i we Lwowie, Kamedułów na Bielanach pod Krakowem, kościół św. Kazimierza w Wilnie (1604), św. Anny w Krakowie, kościoły w Połocku, Pożajściu, Pińsku, w Krzemieńcu i t. d., wreszcie najpiękniejszą w Polsce barokowa świątynia: kościół św. Piotra i Pawła w Wilnie. Nieco później powstają wspaniałe pałace barokowe Firlejów w Janowcu, Lubomirskich w Wiśniczu, słynny Krzyżtopór Ossolińskich w Ujeździe, zamek Koniecpolskich w Podhorcach, Słuszków, Sapiehów, Radziwiłłów w Wilnie, Krasickich w Krasiczynie, pałac Krasińskich, Kazanowskich, Koniecpolskich (dziś pałac Rady Ministrów na Krakowskiem Przemieściu) — w Warszawie. Ten ostatni wznosi Konstanty Tencalla, mistrz ten sam, co buduje kolumnę Zygmunta III i bodaj także kaplicę św. Kazimierza w Wilnie.

Podobnież pokrywa się Polska mnóstwem barokowych pomników i nagrobków, oraz — mniej licznych — płócien, ujawniając niemal stale, jak mówi Kopera, własne polskie „stosowania barokowe“.

Równocześnie, od r. 1618, gdy ukazuje się Piotra Kochanowskiego przekład Goffreda Tassa, przenika barok do poezji, dając upust fantazji i animuszowi polskiemu. Bardzo słusznie już w r. 1873 pisał Karol Mecherzyński, (wuj Stefana Żeromskiego), że „literatura w. XVII miała swój charakter właściwy i uwagi godną oryginalność, dla której wiek ten nie może być uważany za przerwę zupełną w umysłowym postępie. Zapał religijny i polityczny, tak żywo odbijający w pisarzach tej epoki, swoboda w użyciu dowolnej formy, okazująca poczucie się na własnych siłach, zdumiewająca obfitość i fantazja, przerosłe w nadmiar i wybujanie, — dowodzą, że literatura miała pod sobą grunt żywotny i płodny. Pod względem ducha narodowego i swojsko wości wyrażeń pisarze ówcześni byli rzeczywiście mistrzami swojej epoki. Mimo smak dziwaczny nigdy piśmiennictwo nasze nie było wierniejszem społeczeństwa i wieku swego wyobrażeniem, nigdy żywioł narodowy tak w niem silnie i miejscowo się nie rozwinął... Cokolwiek w społeczeństwie było żywotne, wyrażało się i odbijało w piśmiennictwie. Wszędy pojęcia i wyobrażenia, panujące w narodzie i tkwiące w charakterze społecznym, służyły za wzór i modłę pojmowania, myślenia, opowiadania. Pisarz nie krępowany żadnemi względami powagi, przyzwoitości i smaku, rozwijał wszechstronnie tę umysłową swobodę i oddawał wszystko w ten sposób, jak naród cały po swojemu czuł, myślał i wyrażał. Szczeropolskie serce, zamiłowanie swojszczyzny, pełność życia i myśli, jakie radzi widzimy np. w Reju, nagradzają brak ukształcenia, poprawności stylu i smaku. Podobnież u pisarzy w. 17-go widzisz nieforemność postawy, jasność i szorstkość charakteru, zdrożny i rozwiązły dowcip; lecz obok tych wad zazwyczaj wielką siłę liryczną, męskie i prawdziwie narodowe rzeczy ujęcie, szczerotę i niewinność. Posługuje w tej mierze język całemu narodowi właściwy, powszedni, towarzyski, pełen swobody i łatwości, acz nie strzegący stałych i koniecznych zasad. Żadne tam słowo nie było wydziedziczone, żadna hierarchja językowa nie oddzielała wyrazów gminnych, potocznych, i rubasznych od wyrazów szlachetniejszej mowy, uczonego i książkowego stylu. Wszystkie narodowe kształty mówienia, przysłowia, porównania, z żyjącego słownika wzięte, weszły do stylu ówczesnych pisarzy. W poezji, wymowie, dziejopiśmie, i wszystkich zgoła rodzajach literatury jeden widzimy język, jeden styl, jedną ogólną cechę: narodowość i popularność“.

Tę bajeczną charakterystykę w. 17-go, sformułowaną przez Mecherzyńskiego przed 60 laty, potwierdza dziś Brückner:

„Poezja 17-go wieku przedstawia ten wiek o wiele wyraźniej, wydaje głębię ducha jego, jest bardziej narodowa, niż poezja 16-go w.... Humanizm 16-go wieku ścierał różnice czy cechy narodowe, nacjonalizm czy partykularyzm w. 17-go ostro je wydaje, nawet w doborze słów, nietylko treści: poeci nie stronią od wyrazów gwarowych, pospolitych; tak samo różni się obrazowość: teraz nie ograniczają się klasyczną, czerpią z życia i otoczenia“.

Inny wreszcie uczony, niedawno zmarły Stanisław Dobrzycki, podkreśla „wybitne podobieństwo i łączność między wrażeniem baroku, jako sumy zjawisk artystycznych, a syntetycznem i zbiorowem wrażeniem literatury polskiej tego okresu. Jak tam, tak i tutaj mamy do czynienia z wrażeniem złożonem, mieszanem. W całości tej literatury widzimy wielkie zalety: rozmaitość, bogactwo tonów i nastrojów, obfitość motywów i form, życie i ruch, zamaszystość i energję, przepyszne odbicie materjalnego i duchowego życia ówczesnej Polski, czyli nadzwyczajną łączność z duszą narodu. Ale obok tych świateł silne są i cienie, potęgujące się tembardziej, im dalej posuwamy się chronologicznie“.

Nikt nas jednak nie zmusza w tym szkicu, „posuwać się dalej“. Zatrzymujemy się, pomnąc o łacińskiem przysłowiu: abusus non tollit usum, bo nadużycia, które wytwarza barok (jak każdy zresztą styl i każde zjawisko), bynajmniej nie są nieodpartą koniecznością. Ustalamy natomiast fakt: barok bardziej, niż jakikolwiek prąd duchowy, odpowiada charakterowi narodu polskiego, wyzwalając w nim najgłębsze jego wartości.

Świeżo ukazała się z druku książka
Stanisława Piaseckiego
Prosto z mostu

Zbiór szkiców literackich, podzielony na trzy części: „Dzisiejszość literacka“, „Pion“ i „Walki“. Tytuły poszczególnych rozdziałów: Narodziny nowego stylu. — Wielka krzywda. — Tak się mówi, ale tak się nie pisze. — O roku ów. — Mocny człowiek. — Teraźniejszość w historji. — Epopeja rodziny Niechciców. — O „Zazdrości i medycynie“. — Ikkos i Sotion. — Goetel o Indjach. — Powrót do rzeczywistości. — Bonzownictwo. — Poezja marki: Staff. — Mecenas Skiwski. — Zuzie maszerują. — Szpila w Zielony Balonik. — Nowy wspaniały świat. — Wiemy, że nic nie wiemy. — Od Acharda do... Hitlera. — Od uniwersalizmu do imperjalizmu. — Na chłopski rozum. — Dziadowanie. — Dołoj uczonyje. — Bój o Styków. — Inflacja książki. — Tajemnica śmierci Mickiewicza. — Sensacja trucicielska. — Ochotnik Levy. — Martwa nagroda. — Sprawy przyziemne.

Cena zł. 3.— Nakład „Roju“